

Oniemiały teatr

PAWEŁ SOSZYŃSKI

Mijający rok pokazał, że teatr może i jest jedną z najmocniejszych polskich marek eksportowych w dziedzinie kultury, ale jednocześnie jego pozycja w kraju jest marginalna.

KTO MÓGŁ PRZYPUSZCZAĆ, ŻE KRYSTIAN Lupa przepowiedział w „Wycince” według Thomasa Bernharda przyszłość teatru, w którym ten spektakl wystawił w 2014 r. – Teatru Polskiego we Wrocławiu. I więcej – zdiagnozował w nim pozycję teatru i kultury na mapie priorytetów polskich polityków. Jak bohaterowie powieści Bernharda, na gwiazdę wieczoru musieliśmy w Teatrze Polskim długo czekać, kolacja „wybitnie artystyczna” ciągnęła się w nieskończoność, część gości uciekła – do warszawskich teatrów, gdzie w przyszłym roku zagrają m.in. Halina Rasiakówna i Ewa Skibińska.

Upichcony przez wrocławskich polityków sandacz balatoński nie dość, że wystygł, to jeszcze zaczął niemiło zatrać. W tej przykłej atmosferze zjawiał się następca dyrektora Krzysztofa Mieszkowskiego – aktor Cezary Morawski, znany szerzej z seriali „M jak miłość” i „Barwy szczęścia”. Oskarżycielski monolog Piotra Skiby-Bernharda o artystach flirtujących z władzą i sztuce, którą wysługują się polityczne frakcje, w mijającym roku wybrzmiał wyjątkowo gorzko i aktualnie. Od

sierpnia jesteśmy świadkami upadku jednej z najlepszych scen w kraju, a na pewno najlepszego w Polsce zespołu teatralnego. I nie trzeba było wcale do tego „dobrej zmiany” – zerwani ze smyczy politycy nowej opozycji dali nam wyraźnie do zrozumienia, że kultura jest dla nich pionkiem w politycznej grze lub zwyczajnie kulą u nogi.

Sezon tajemnic

W sierpniu mogliśmy się niepokoić i spekulować. Co z Teatrem Polskim zrobi jego nowy dyrektor, który przekonywał z koncyliacyjnym uśmiechem, że chce zachować wysoki poziom artystyczny przejętej sceny. W grudniu wiemy już, że to niemożliwe. Niecałe cztery miesiące wystarczyły, żeby pogrzebać kapitał tej sceny, budowany przez dziesięć ostatnich lat. Jak to w ogóle możliwe? Jeden człowiek kontra dziesiątki artystów, kilku lokalnych polityków w starciu z całym środowiskiem?

Mijający rok pokazał, że teatr może i jest jedną z najmocniejszych polskich marek eksportowych w dziedzinie kultury, ale jednocześnie jego pozycja w kraju jest

chwiejna, wręcz marginalna. „Niemy protest”, który z Wrocławia rozlał się na cały kraj i poza jego granice, od Brazylii po Japonię, jest z pewnością znaczący, ale musi się w nim przejrzyć również ta realna, społeczna i polityczna, siła środowiska teatralnego. Bo sytuacja we Wrocławiu każe zadać najprostsze pytanie: czy teatr w Polsce jest niemy?

W 2013 r. w Krakowie nie odbyła się premiera „Nie-Boskiej komedii. Szczątków” w reżyserii chorwackiego artysty Olivera Frlijicia. Spektakl, o czym donosił głównie „Dziennik Polski”, powiadomiony przez „życzliwych” aktorów, miał rozprawiać się z polskim antysemityzmem, i to w sposób ostry, konfliktowy, dla Polaków pewnie nieprzyjemny. Taki jest teatr Frlijicia, jednego z najwybitniejszych reżyserów europejskich średniego pokolenia. Po anonimowych groźbach pod adresem aktorów i Starego Teatru oraz oburzeniu lokalnego establishmentu dyrektor Jan Klata zdecydował się zawiesić próby. Dla wielu ta decyzja była gestem niemocy i fatalnym precedensem. W 2014 r. Michał Merczyński, dyrektor poznańskiego festiwalu Malta, ugiął się pod naciskami lokalnej władzy i nie pokazał „Golgoty Picnic” Rodriga Garcii, gdzie Pasja Chrystusa rozgrywa się w scenografii wyłożonej hamburgerami. Po raz pierwszy środowisko teatralne wystąpiło wtedy wspólnie, protestując przeciwko tej decyzji. W teatrach i na placach wielu miast odbyły się czytania tekstu skandalizującej sztuki.

Do tych wydarzeń nawiązywał Krystian Lupa w najbardziej zjadliwych fragmentach „Wycinki”. Rzeczywiście, w gruncie rzeczy w sprawie „Golgoty Picnic” wystę-



NATALIA KABANOW

Krystian Lupa podczas próby spektaklu „Wycinka Holzfällen” w Teatrze Polskim we Wrocławiu.

powaliśmy jako środowisko sami przed sobą, organizując dla dobrego samopoczucia niedzielny event nagradzany symbolicznymi lajkami. Bunt i oburzenie skończyły się, jak zwykle przy takich okazjach, szerowaniem do upadłego statusów na Facebooku, czyli tautologią. W gruncie rzeczy nic realnego nie zostało wtedy osiągnięte. Jednak nawet wtedy, choć czuć już było, że teatr polski gnie się pod naciskami i nie jest wcale tak politycznie nieprzejednany, jak to lubi o sobie opowiadać ze sceny, to nikomu do głowy by nie przyszło, że może wydarzyć się „Wrocław 2016”. Nie tylko nie doszło do pojedynczej premiery, w tym przypadku „Procesu” Lupy, ale położony zostaje cały sezon, z afisza zdjętych jest siedem przedstawień, w tym „Poczekalnia.0” Lupy, „Tęczowa trybuna” Strzępki i Demirskiego. I to bez zwyczajowych pożegnalnych wystawień, tylko z dnia na dzień. Bez jakiegokolwiek projektu, czym zastąpić te tytuły. Jak wiadomo, od sierpnia plany premierowe w Teatrze Polskim we Wrocławiu są pilnie strzeżoną przed aktorami, widownią i dziennikarzami tajemnicą. Przypomnijmy: mamy grudzień.

Nic się nie stało, Polacy...

Od sierpnia trwają też protesty. Ich twarzą medialną został oczywiście Lupa, au-

tor interwencyjnej „Spi->ra->li” pokazywanej pod koniec 2015 r. w ramach projektu „Pop Up” w Krakowie. Tu już reżyser nie mówił Bernhardem jak w „Wycinie”. Przemówił własnym głosem: o „Golgocie Picnic”, o zwątpieniu w teatr, który może oddziaływać na sumienia, o dwulicowości środowiska. Teatrowi w Polsce został wystawiony słony rachunek. „I znowu się na coś straszno zgodzimy” – już sam tytuł monologu Lupy ze „Spi->ra->li” nie pozostawia nadziei, a w perspektywie mijającego roku jest spełnioną przepowiednią.

„Czujemy się oszukani (...) Demokracja nie broni nas przed demonami miernych. To targ opanowywany przez spryciarzy, spryciarz żerujący na lękach miernoty, na resentymentach i nienawiści, na frustracjach, nazywa się geniuszem politycznym” – diagnozuje Lupa po wyborach 2015 r., po zwycięstwie PiS-u. Odwołuje się do Bernharda, mówi o faszyzmie. Ale mówi też wciąż o teatrze. O teatrze swoim, teatrze Jana Klaty, Moniki Strzępki i Pawła Demirskiego, Weroniki Szczawińskiej, Michała Zadary i Mai Kleczewskiej, Marcina Libera i Pawła Wodzińskiego. Podsumowuje całe dziesięciolecie teatru politycznego, z którego byliśmy w Polsce tacy dumni.

Czujemy się oszukani czy sami siebie oszukiwaliśmy? Jak łatwo odradzają się

mitologie od dekady dekonstruowane na naszych scenach, jak szybko w rzeczywistości społecznej zjawiają się symbole, które w teatrze dawno temu pogrzebano – to pokazuje społeczną niewydolność wszystkich tych przedstawień, których tematy uznano już za przepracowane i zamknięte.

Projekt teatru politycznego się nie powiódł. Pracował w obiegu zamkniętym kilku scen, krytyków teatralnych i autorów. Naiwnie wierzono, że coś się stało. Po tym roku wiemy, że to było tylko złudzenie. Zamietliśmy rok 2013 i 2014 pod dywan, wymawiając się przed sobą teatralnymi gestami, czytaniem, kilkoma listami protestacyjnymi. I kończący się rok nagle zwałił się nam na głowę. Jak Gerhard Auersberger z „Wycinki” Lupy – środowisko teatralne w osłupieniu kłapie na bankiecie sztuczną szczęką.

Polka-demolka

Tymczasem wycinka trwa. W Warszawie zlikwidowano Festiwal Rozdroże w CSW, który od ponad dwóch dekad prezentował najwybitniejszych światowych choreografów. W Lublinie ledwo dyszy Festiwal MAAT z jedynym programem rezydencyjnym dla polskich tancerzy – całkiem możliwe, że Centrum Kultury Zamek poprzestanie na kolejnej edycji.

⇒ Jest to problem nie mniej istotny niż „wycinka” Polskiego we Wrocławiu, choć medialnie mniej atrakcyjny. Polski taniec wreszcie wyemancypował się z teatru, stworzył jedno z najciekawszych repertuarowych propozycji w ostatnich dwóch sezonach, a w takich spektaklach jak „Piłkarze” Małgorzaty Wdowik, „Schubert. Romantyczna kompozycja na dwunastu wykonawców” Magdy Szpecht czy „Portret damy” Eweliny Marciniak stoi za sukcesem całego przedsięwzięcia. Nominacje do Paszportów „Polityki” dla Dominiki Knapik i Pawła Sakowicza tylko tę tendencję potwierdzają. Krytycy i widzowie wreszcie zaczynają choreografów zauważać. Tymczasem urzędnicy i dyrektorzy instytucji kultury z dziwnym uporem podcinają im skrzydła i mimo ewidentnych sukcesów skazują na wegetację w niedogrzanych salkach, wypóżyczanych na godziny.

Do tego dochodzą sytuacje całkiem kuriozalne, jak choćby wielogodzinne przesłuchiwanie w bydgoskiej prokuraturze Bartka Frąckowiaka i Pawła Wodzińskiego, twórców nowej formuły – Festiwalu Prapremiery. A wszystko z powodu znanego już Polakom Olivera Frljicia, który tym razem w spektaklu „Nasza przemoc i wasza przemoc” każe muzułmance wyciągać z pochwy polską flagę. Zawiódł nie tylko teatr polityczny, ale także teatralna edukacja, skoro prokuratura powołała na biegłego świadka profesor Krystynę Duniec, która „wystąpiła” w jej siedzibie z wielogodzinnym wykładem-zeznaniem, tłumacząc urzędnikom fenomenologię znaków teatralnych. „Boję się flagi biało-czerwonej, możecie sobie wyobrazić, co to znaczy?” – kwitował w trakcie „Pop Upu” Lupa, antycypując tę historię.

Frljić w lutym przyszłego roku wystawi „Kłatwę” Wyspiańskiego w Teatrze Powszechnym w Warszawie. Czy dojdzie do premiery? Czy ten teatr premierę Chorwata przetrwa? To są całkiem realne, nie tak znowu historyczne pytania. Już nie, bo kto mógł przypuszczać, że Cezary Morawski wygra z Lupa, ze Strzępką i Demirskim, z Garbaczewskim. To jest właśnie zwycięstwo miernych, którego boi się Lupa. Oni nie posłuchają ani Agnieszki Holland, ani Mai Komorowskiej, nawet jeżeli wystosuje ona do nich pełne troski i chęci dialogu przesłanie.

Pierwsi czarne taśmy przykleili sobie na ustach w trakcie ukłonów aktorzy Teatru Polskiego we Wrocławiu. Później ten gest protestu podjęli inni artyści. Po spektaklach czytany jest list w obronie wrocławskiej sceny. Czy to tylko akt solidarności? Ostatni rok pełen był precedensów, wcześniej niewyobrażalnych. Co stanie się ze Starym Teatrem w następnym sezonie, kiedy odejdzie Jan Klata? Co to znaczy, że minister kultury chce wziąć pod ministerialną opiekę niektóre z teatrów? I czy chodzi tu o sceny „najcenniejsze”, czy może najmniej spolegliwe?

W większości przypadków to nie walec „dobrej zmiany”, ale opozycyjne samorządy lokalne i dyrektorzy instytucji przekreślają teatralny dorobek w swoich miastach. Tak jakby tegoroczna polityczna zawierucha dawała im całkowitą wolność w decydowaniu. W końcu co tam jeden festiwal czy teatr w obliczu demolki Trybunału Konstytucyjnego? Problemem jednak jest to, że środowisko teatralne nie ma żadnej mocy, nie potrafi wywierać realnych nacisków, nie jest skuteczne. Protestowano przy okazji „Golgoty Picnic”, ale nikomu do głowy nie przyszło, żeby ten bunt ująć w ramy stowarzyszeń i fundacji, którym chodziłoby o coś innego niż kolejne granty na doraźne wydarzenia artystyczne.

Zostaliśmy – oburzeni, przerażeni, może wreszcie naszymi działaniami znudzeni – w salonie z „Wycinki”. Ostatecznie tak działa przecież to środowisko: zbieramy się, jak bohaterowie Bernharda, tylko przy okazji pogrzebów. Strach pomyśleć, co będzie w następnych latach, może już w następnym roku, kiedy „dobra zmiana” upomni się o teatr narodowy, prawdziwie polski, jedyny słuszny. Lupa pewnie będzie wystawiał za granicą. ©

PAWEŁ SOSZYŃSKI



Co wtorek o godz. 14.30
w Radio Kraków goszczą
dziennikarze „Tygodnika”.

Słuchaj nas w Małopolsce:

Kraków – 101,6 FM

Nowy Sącz – 90,0 FM

Krynica Zdrój – 102,1 FM

Rabka Zdrój – 87,6 FM

Tarnów – 101,0 FM

Zakopane – 100,0 FM

Andrychów – 98,8 FM | Gorlice – 97,4 FM

www.radiokrakow.pl